Jurek Krzystek, 09/2021

Grecja 2021

Moja pierwsza wizyta w Grecji od 10 lat. Poprzednia wypadła na lata kryzysu, już wtedy dla Greków ciężkiego, a jak się miało okazać, najgorsze lata były dopiero przed nimi. Jak wyglądają sprawy dzisiaj, postaram się skomentować pod koniec tego raportu, a skoncentrujemy się najpierw na turystyce. Choć pierwszy raz byłem w Grecji w roku 1978, a potem jeszcze wielokrotnie, nigdy na dobrą sprawę nie zobaczyłem Peloponezu poza jego północno-wschodnim skrawkiem. A że jest to kolebka naszej cywilizacji, czas nadrobić zaległości.

Dzień 0. 18 godzin podróży z San Francisco do Aten *via* Londyn. Wystarczy tej przyjemności, nawet jeśli loty (British Airways) były punktualne i bezproblemowe. Prosto do hotelu lotniskowego i ogłaszamy koniec dnia.

Dzień 1. Wynajmujemy samochód i ruszamy wprost na Peloponez z wybranym celem dnia: **Olimpią**. Po minięciu Przesmyku Korynckiego i Nemei skręcamy na zachód wkraczając w Arkadię. Sielska w wyobrażeniach Arkadia istotnie oferuje piękne widoki, choć raczej nie śródziemnomorskie. Położona w dość wysokich górach, porośnięta jest głównie lasami szpilkowymi, przecinanymi przez głębokie wąwozy. W wąwozach tych ulokowane są małe wioski i miasteczka o swojsko brzmiących nazwach, jak: Stemitza, Dymitzana itp. Są to świadectwa inwazji plemion słowiańskich na Bałkany i Peloponez w 6. wieku naszej ery. Plemiona te opanowały ten i inne rejony Grecji, odbierając ją praktycznie na długie stulecia Bizantyjczykom. Nie mieliśmy czasu się zatrzymywać w poszczególnych wioskach, zwłaszcza że droga zrobiła się super-wąska i bardzo powolna, ale przypadła nam do gustu mijana Lagkadia.

Bliżej Olimpii droga zrobiła się szersza i mniej kręta, ale wzgórza pokazywały ślady niedawnych pożarów. Im bliżej celu, tym gorzej. W pewnym momencie ogień musiał przeskoczyć szosę, bo wypalone obszary widać było po obu jej stronach, a przy samej drodze stały wypalone wraki samochodów. Nie chcę dochodzić, co się stało z ludźmi. Nie widać było jednak spalonych domów, mimo że ogień wypalił sady i ogrody wokół nich. Spalone domy widzielismy za to w następnych dniach na południu Peloponezu. W sumie widoki były kalifornijskie, czyli ponure.

Hotel w Olimpii zarezerwowany na tę noc się ostał, choć nie dalej niż 1–2 km od pożarów. Ruszyliśmy niemal z marszu na zwiedzanie, najpierw lokalnego muzeum archeologicznego. Było to wielkie odkrycie. Miałem dotąd wrażenie, że ze starożytności niewiele się w Olimpii zachowało. A jednak przetrwało mnóstwo obiektów małej skali, a nawet większych wymiarów. Olimpia była aktywnym centrum ekonomicznym i społecznym jeszcze w epoce neolitu. W czasach historycznych przekształciła się w panhelleńskie miejsce kultu Zeusa. Od roku 776 pne, czyli jeszcze w okresie geometrycznym (zwanym tak od sposobu zdobienia ceramiki) odbywały się tam wiadome igrzyska. Skończyły się albo w roku 393 ne z woli super-chrześcijańskiego cesarza Teodozjusza I, albo w 426 ne za jego imiennika, Teodozjusza II – nie ma zgody wśród uczonych tego okresu historii. Wskrzeszone w 1896 z inicjatywy markiza de

Coubertin, dożywają ponownie swych dni w latach obecnych, bo mało kto będzie twierdził, że mają jeszcze znaczący prestiż w erze dopingu i powszechnej polityzacji sportu. *Nota bene*, dowiedziałem się właśnie teraz, że rytuał zapalania znicza w ognisku wklęsłego zwierciadła w Olimpii, a potem przenoszenia go sztafetą na miejsce aktualnych igrzysk, datuje się na rok 1936 i jest wymysłem nazistowskich propagandzistów organizujących olimpiadę w Berlinie. Podróże kształcą.

Dzień 2. Z całą tą wiedzą wkroczyliśmy następnego dnia na teren wykopalisk dawnego świętego okręgu Olimpii. Wykopaliska były przeprowadzane od początku 20. wieku przez archeologów niemieckich i są imponujące. Nie sądziłem, że aż tak wiele pozostałości przetrwało wieki. Choć wszystkie budynki padły ofiarą trzęsień ziemi, ewidentnie nie było większego zapotrzebowania w okolicy na materiały budowlane, więc co gdzie upadło, tam leży. Wielka świątynia Zeusa Olimpijskiego jest w gruzach, a jego rzeźba wykonana w złocie i kości słoniowej przez Fidiasza, będąca jednym z siedmiu klasycznych cudów świata, należy do przeszłości. Wywieziona do Konstantynopola w 5. wieku ne zniknęła na zawsze. Ale w samej Olimpii zachował się dom i warsztat Fidiasza, potwierdzony przez znaleziska archeologiczne, w tym narzędzia noszące jego imię. Ewidentnie budynek ten był przez wieki otoczony czcią, a w czasach chrześcijańskich został przerobiony na kościół, dzięki czemu przetrwał w niezłym stanie.

Tego samego dnia podążyliśmy na południe Peloponezu, ale nie wprost. Doczytałem się bowiem o świątyni Apollona Epikuriosa w **Bassae**. Położona w okolicach, gdzie diabeł mówi dobranoc, świątynia ta jest najlepiej zachowanym budynkiem epoki klasycznej w Grecji z wyjątkiem Tezejonu w Atenach. Zbudowana została (rzekomo) przez Iktinosa, projektanta ateńskiego Partenonu na zlecenie i ze środków finansowych mało znanego miasta Filageia. Miastu owemu udało się bowiem uwolnić od hegemonii pobliskiej Sparty, która zdołała w tym czasie opanować większość Peloponezu i postanowiło ono to uczcić budową świątyni. Budynek przetrwał wieki, choć ledwo. Moda na wszystko co helleńskie na początku 19. wieku doprowadziła do aktów wandalizmu i kradzieży. Wiele elementów świątyni zostało wywiezionych do Anglii, podobnie jak słynne fryzy z ateńskiego Partenonu. Inne zniknęły na zawsze. Ale sama konstrukcja stoi, choć trudno ją sfotografować, bo znajduje się pod specjalnie wzniesionym na czas prac renowacyjnych namiotem.

Po dość wytężonej jeździe przez bezdroża (naszemu kompaktowemu Citroenowi ledwo udawało się przejeżdżać przez niektóre wioski; nie wiem co czynią kierowcy większych wehikułów) dotarliśmy w końcu do celu, czyli Kalamaty. Kalamata znana jest przede wszystkim z oliwek. W rzeczy samej, wszystko co się uprawia w tej części Peloponezu, na tysiącach hektarów, to są oliwki, znakomite zresztą w smaku. Poza tym miasto to jest nowoczesne i mało atrakcyjne, mimo bogatej przeszłości. Potraktowaliśmy je jako bazę wypadową do następnych dni.

Dzień 3. Pierwszym miejscem odwiedzonym tego dnia był Pałac Nestora, położony ok. 15 km w głąb lądu od miasta **Pylos**. Odkryty w przededniu II Wojny Światowej, jest najlepiej zachowanym pałacem królewskim epoki mykeńskiej, z murami osiągającymi 1 metr wysokości. Nestor był według Homera jednym z achajskich uczestników Wojny Trojańskiej, znanym z podeszłego wieku i związanej z tym mądrości życiowej, a jego rezydencja jest opisana w Odysei, gdy syn Odysa Telemach odwiedza Nestora poszukując ojca. Wykopaliska zostały przerwane przez wojnę i wznowione dopiero kilka

lat po niej po niej i przyniosły niebywałe rezultaty. Poza obiektami kultury materialnej znaleziono w nich archiwa królewskie w postaci tabliczek pokrytych tzw. pismem linearnym B, które udało się w latach 1950. odczytać. Był to koronny dowód, że Achajowie kultury mykeńskiej mówili po grecku, a w każdym razie posługiwali się archaiczną wersją greki, co wcale nie było oczywiste pomimo opowieści Homera. Archeolodzy dalej znajdują na terenie pałacu skarby: w 2015 r. dwóch uczonych amerykańskich nie uzyskawszy pozwolenia na poszukiwania w obrębie samego pałacu, zaczęło kopać w gaju oliwnym tuż obok i znalazło nietknięty (znaczy: niezłupiony) grób z ok. 1450 r. pne, a w nim m.in. pieczęć wykonaną z agatu. Niewiarygodnej precyzji wykonania (do tego stopnia, że osobiście podejrzewam mistyfikację i użycie nowoczesnej technologii), pieczęć ta przedstawia sceny przypominające opisy z Homera, dostarczając tym samym – jeśli jest autentyczna – kolejnego dowodu, że Homera trzeba traktować poważnie, nawet jeśli nie tak dosłownie jak Schliemann.

Pałac Nestora wyjątkowo nie był otoczony murem obronnym jak jego odpowiedniki w Mykenach czy Tirynsie. Mury te zresztą owym rezydencjom nie pomogły – wszystkie zostały spalone i doszczętnie zniszczone w połowie 12. wieku pne, pałac Nestora również. Kilka kilometrów obok, w miescowości Chora znajduje się muzeum archeologiczne, ale można je sobie darować. Dopytałem się tam o pieczęć z Pylos, o której wyżej: jest w depozycie, ale nie eksponowana. Muzeum ma zostać przebudowane i dopiero wtedy pieczęć zostanie pokazana wraz z innymi znaleziskami publiczności. Prawdopodobnie chodzi o prawdopobieństwo kradzieży w dość zapuszczonym i słabo obecnie chronionym budynku.

Z pałacu rozciąga się piękny widok na Zatokę Navarino, na wodach której rozegrała się w 1827 ostatnia poważna bitwa morska, w której walczyły okręty napędzane wiatrem i/lub wiosłami. Połączona flota brytyjsko-francusko-rosyjska rozbiła w proch i pył flotę turecko-egipską, co znakomicie przyśpieszyło odzyskanie przez Grecję niepodległości od Turków. *Nota bene* bitwa odbyła się niejako przez pomyłkę, bo naczelny dowódca zwycięskiej floty, admirał Codrington, źle zrozumiał wydane mu instrukcje. W nagrodę za wygraną bitwę poszedł więc w odstawkę. Zatopione okręty tureckie i egipskie zalegają na dnie zatoki po dziś dzień i są plany urządzenia tam podwodnego parku archeologicznego.

Z miejscowości Pylos, czyli weneckiego Navarino, podążyliśmy na południe wzdłuż zachodniego z trzech palców Peloponezu, zatrzymując się w **Methone**. Ładne to miasteczko zdominowane jest przez olbrzymią twierdzę zbudowaną przez Wenecjan. Tak w ogóle, to Wenecja odkrywała przez stulecia ogromną rolę w Grecji, a szczególnie na Peloponezie. W r. 1204 miałą swą (niechlubną) rolę w zdobyciu Konstantynopola przez Czwartą Krucjatę, potem współrządziła odebranym Bizantyjczykom Peloponezem wraz z Frankami, a gdy ci zostali w końcu przez Bizantyjczyków wyparci, prowadziła z tymi ostatnimi nieustające wojny. Gdy resztki Bizancjum zostały w końcu zlikwidowane przez Turków, Wenecjanie przenieśli swe wojownicze zapędy na tych ostatnich i ścierali się z nimi aż do początku 18. wieku, okresowo okupując części Peloponezu, jak też niektóre wyspy na Morzu Egejskim. Potrafili też oblegać same Ateny – im właśnie (na spółkę z Turkami) zawdzięczamy częściowe zniszczenie Partenonu w 1687, gdy pocisk z weneckiego moździerza trafił w turecką prochownię urządzoną w świątyni.

Z Methone przejechaliśmy na drugą stronę lewego palca Peloponezu, do **Koroni**. Kolejne malownicze miasteczko z dużo mniejszą twierdzą niż w Methone. Po drodze jednak widać kolejne spalone tereny, w tym sady oliwne, winnice i niestety również domy. Koniec dnia deklarujemy w **Kalamacie**.

Dzień 4. O świcie opuszczamy Kalamatę podążając na południe wzdłuż środkowego palca Peloponezu. Bardzo piękne wybrzeże usiane małymi portami i miasteczkami, w tym **Kardamyli** i **Stoupa**. To pierwsze nader historyczne, bo był to morski port Sparty. Sama Sparta położona była w głębi lądu i potrzebowała okna na świat. Stało nim się właśnie Kardamyli, pomimo wysokich gór dzielących je od metropolii (zbudowano odpowiednią droge). Nie zatrzymaliśmy się jednak w średniowiecznym w dzisiejszym kształcie miasteczku, a dojechaliśmy do Stoupy, która również jest znana, a to z racji związków z Nikosem Kazantsakisem, który posiadał tam kopalnię węgla. Do jej nadzoru zatrudnił niejakiego Giorgiosa Zorbę. W ten sposób dowiedziałem się, że Grek Zorba nie jest wyłącznie postacią fikcyjną. Dzisiaj Stoupa znana jest z pięknych plaż i jest znaczącą atrakcją turystyczną.

Jadąc dalej na południe dotarliśmy do **Limeni**, które jest małą nadmorską wioską rybacką położoną niedaleko większego miasta Areopolis. Cały ten rejon znany jest jako Mani (w tym wypadku Mani Messeńskie; po drugiej stronie środkowego palca Peloponezu leży Mani Lakońskie). Teren ten jest górzysty, niemal pozbawiony uprawnej gleby i właściwie poza rybołówstwem nie było tam z czego żyć, dopóki nie pojawili się turyści. Gdy Sparta straciła swą siłę militarną i znaczenie polityczne, niedobitki Spartan przeniosły się (rzekomo) do Mani, zabierając ze sobą charakterystyczną zawziętość i bitność. Tam żyły przez stulecia, walcząc nieustannie między sobą i w związku z tym budując setki obronnych wież, w których zamieszkiwały. Co pewien czas Manici jednoczyli się przeciw siłom zewnętrznym, w tym Turkom, którzy nigdy do końca terenów Mani nie opanowali. W 19. wieku na pół dzikie, za to bardzo wojownicze Mani dało zaczyn do odzyskania przez Grecję niepodległości.

Wspomniane wyżej wieże obronne są dziś albo w ruinie, albo odbudowane i zamienione na hotele. Nasz hotel w Limeni był odbudowaną w 2007 rezydencją jednego z liderów walki o niepodległość Grecji o nazwisku Mavromichalai, którego dumny wąsaty portret zdobi lobby. Bardzo piękne miejsce.

Dzień 5. Po porannej kąpieli w cudownym morzu ruszamy z Limeni przez **Areopolis** na południe do jaskiń **Diros**. Jest to ważne miejsce dla antropologów, bo zamieszkałe przez ludzi przez tysiące lat, co najmniej od neolitu. Dzisiaj zwiedza się je częściowo na łódce, częściowo pieszo. Zatoka, nad którą leżą jaskinie – wielkiej piękności.

Z Diros trasa nasza wiedzie poprzez góry na drugi brzeg środkowego palca Peloponezu, czyli do Mani Lakońskiej. Krótki postój w **Gytheio** – bardzo malowniczym porcie rybackim nad Zatoką Lakońską (wspomnianym przez Homera, a jak!) i prujemy dalej na wschód, przez prawy (wschodni) palec do Monemvasii.

Zdjęcia z przejechanej dotąd trasy:

https://photos.app.goo.gl/Ks7CSP5gR9288yTv9

Dzień 6. Monemvasia położona jest na nader widowiskowej stumetrowej skale wystającej pionowo z morza. Zamieszkała, jak wszystko w Grecji, od tysięcy lat, zyskała na znaczeniu dopiero w czasach bizantyjskich, a bardziej konkretnie po utracie Konstantynopola przez Bizancjum w 1204 roku w wyniku Czwartej Krucjaty. Jako rezultat wytężonych wojen między Frankami i Wenecjanami z jednej strony, a Bizantyńczykami z drugiej, powstał Despotat (a może Despocja?) Morei, której Monemvasia stałą się ważną częścią. Termin *despota* w owych czasach oznaczał coś zupełnie innego, niż dziś: gubernator prowincji cesarstwa. Tzw. Renesans Paleologów, czyli dwa ostatnie stulecia Cesarstwa Bizantyjskiego, bardzo się Monemvasii przysłużył. Bizantyjczy opracowali niemal do perfekcji rozkład miasta: na samym szczycie góry położony był zamek (zwany dziś: Castro, nie mylić z Fidelem). Wokół zamku rozpościerało się miasto górne, w którym rezydowała klasa wyższa i administracja, a na poziomie morza było miasto dolne, gdzie mieszkała i pracowała reszta pospólstwa. Wszystko to otaczało kilka rzędów murów obronnych, które zapewniały nie tyle może całkowitą odporność na ataki, co przynajmniej przeżywalnośc na dłuższy okres, do przybycia potencjalnej odsieczy. Przez dwa stulecia miasto kwitło, aż do nieuniknionego końca. Monemvasia była ostatnim skrawkiem terytorium bizantyńskiego, które poddało się Turkom osmańskim w 1460 r. ne. Jak wszystkiemu, co dostało się w ręce „pohańców", następne stulecia przyniosły miastu stopniowy upadek, aż do czasów nowoczesnych. Dzisiaj część domów jest ciągle w ruinie, ale dużo więcej zostało odremontowanych i zamienionych w luksusowe hotele. Nasz był zaiste imponujący: trzypiętrowy apartament w post-bizantyńskim domu ze wszystkimi współczesnymi dobrami, z tarasem, za nader rozsądną jak na dzisiejsze stosunki cenę.

Dzień 7. Ruszamy na północ, w kierunku **Sparty**. Sparta nigdy nie była miejscem do oglądania. Jak starożytni Grecy (Pauzaniasz), a po nich Rzymianie zauważyli, różnica między klasycznymi Atenami a Spartą polegała na tym, że te pierwsze inwestowały w imponujące budowle publiczne, a ta druga tylko w armię. Nawet u szczytu potęgi Sparty nie było w niej znaczących świątyń, teatrów itp. budynków, a ludność żyła w nader skromnych chatach. O zadziwiającym dziś ustroju społecznym Sparty napisano dziesiątki, jeśli nie setki książek, nie będziemy tu ich streszczać. Ważne jest, że to całkowicie zmilitaryzowane państwo przez stulecia historii nie przegrało ani jednej wojny, aż do bitwy pod Leuktrami w 371 r. pne, gdzie poniosło klęskę z rąk koalicji zjednoczonej przez Teby. Nawet wówczas jednak nie oznaczało to definitywnego upadku Sparty, choć w czasach rzymskich traktowana była raczej jako skansen. Nie dziwota, że miała tak mocny *appeal* u faszystów, a jak mi podpowiada Gejsza, również w Japonii. W końcu jednak równina Lakonii, na której Sparta była położona, wyludniła się i dopiero w 19. wieku miasto, dziś całkowicie pozbawione charakteru, zostało założone od nowa.

Przewodniki mówią, że nie jest do końca tak, że w Sparcie nie ma żadnych antycznych pozostałości. W szczególności zachowały się kilka kilometrów od centrum ruiny budowli z czasów mykeńskich. Co więcej, ruiny te mają dobrze udokumentowaną przeszłość jako miejsce kultu Menealosa, króla Sparty, przez którego niewierną żonę Helenę wybuchła Wojna Trojańska. Ewidentnie historia (lub raczej mit) Menealosa i Heleny była dobrze znana w Sparcie w Ciemnych Wiekach i kontynuowana w czasach Homera. Te same przewodniki, w których powyższe wyczytałem, mówią jednak, że pozostawienie samochodu koło *Menelaionu*, jak zwie się to odludne miejsce, jest niemal gwarancją

zastania wybitych szyb i włamania do pojazdu po powrocie, bo tubylcy w ten sposób dorabiają do pensji. Postanowiliśmy sobie darować, choć nie bez westchnienia.

Zwiedziliśmy za to **Mystrę** (Mystras). Bizantyńskie to od założenia miasto leży tylko kilka kilometrów na zachód od współczesnej Sparty i przez wieki było z nią mylone. Po odebraniu Peloponezu przez Bizancjum z rąk Franków i Wenecjan w 13. wieku Mystra stała się siedzibą despotatu Morei. Około 200 lat, które potem nastapiły jest znane jako Renesans Paleologów i były łabędzim śpiewem Bizancjum przed dostaniem się całego regionu i Peloponezu jako takiego w ręce Turków. Miasto egzystowało jeszcze jakiś czas, stopniowo się wyludniając. Ostateczny cios zadali mu, co dość ciekawe, w 1770 roku Rosjanie, którzy je dokładnie obrabowali i spalili. A co Rosjanie robili wtedy na Peloponezie, to osobna historia. Dziś Mystra to jedna wielka ruina, ale bardzo widowiskowa: jak zwykle w miastach bizantyńskich dominujący nad miastem zamek (*castro*), poniżej niego centrum administracyjne i domy patrycjatu, a jeszcze niżej dzielnice dla pospólstwa.

Pozostała część dnia siódmego podróży to droga do **Nafplio**. Bardzo malownicza ta nadmorska miejscowość, ozdobiona jak trzeba wielką wenecką twierdzą górującą nad nią, była pierwszą stolicą niepodległej Grecji w latach 1827 – 1834. Pozostałością po tym okresie historii są dość monumentalne jak na rozmiar miasta budowle publiczne, w dobrym mimo to smaku. Zaliczyliśmy z marszu lunch w przypadkowo znalezionej, ale bardzo dobrej restauracji tuż koło portu i udaliśmy się do hotelu, położonego kilka kilometrów wgłąb lądu.

Dzień 8. Zaczynamy od **Myken**. Byłem tam wiele, wiele razy, ale nigdy za dużo. Jeden wielki pożytek z pandemii: prawie nie ma turystów! O samych Mykenach nie będę się tu rozwodził. Może tylko o paradoksie, że ich identyfikacja jest stara jak świat. Pauzaniasz o nich wiedział i je zwiedzał. W czasach nowożytnych Byron, Słowacki i wielu innych pielgrzymowało do „grobu Agamemnona". A jednak nikomu przed Schliemannem nie przyszło do głowy wziąć Homera na poważnie i zacząć tam kopać. Nawet złodziejom. Dlaczego?

Więcej już napiszę o **Tirynsie**, położonym niedaleko Myken i bliżej morza. O ile Mykeny znane były Homerowi jako obfitujące w złoto, co potwierdził Schliemann, Tiryns wyróżniał się masywnością i grubością murów, zwanych cyklopimi. I rzeczywiście: nawet to, co widać dzisiaj imponuje swą skalą. Dawniej uważano, że Tiryns był rezydencją królewską podobną do Myken czy Pałacu Nestora. Dzisiaj sądzi się raczej, że był to gród podległy Mykenom i służący jako ich port morski. Podobnie jak inne warownie, Tiryns został gruntownie spalony i zniszczony w połowie 12. wieku pne.

W tym momencie dochodzimy do okresu historii Grecji, który nastąpił po zniszczeniu wielkich pałaców ery mykeńskiej, znanego jako *Ciemne Wieki*. Nikt się nie spiera, że pierwsze tysiąclecie pne rozpoczęło się w Grecji pod znakiem głębokiego upadku cywilizacji. Zmniejszyła się znacznie populacja, niemal zaprzestano cokolwiek budować i zapomniano pisma. Cała kultura materialna się zawaliła. Niektórzy uważają, że głębokość kryzysu przewyższyła upadek Zachodniego Cesarstwa Rzymskiego. Skala czasowa tego okresu jest nieco umowna, ale przyjmuje się na ogół lata 1100 – 750 pne. Nie ma natomiast zgody, co tę katastrofę spowodowało.

Najstarsze teorie głosiły, że kultura mykeńska padła ofiarą inwazji Dorów – plemienia przybyłego z północnej Grecji. Dorowie oprócz zniszczeń fizycznych spowodowali też masową wędrówkę innych greckich plemion, częściowo do Azji Mniejszej, częściowo w bardziej odległe części Morza Śródziemnego, czym dali początek kolonizacji basenu tego morza. Teorie te, jeśli mogę wierzyć swej pamięci, odwołują się do Teodora Mommsena, choć ówże był raczej autorytetem historii Rzymu niż Grecji. W każdym razie tak mnie uczono w szkole.

W ostatnich dekadach pojawiły się prace podważające teorię inwazji Dorów jako przyczyny nastania Ciemmych Wieków. Głównym „rewizjonistą" tej teorii stał się Robert Drews, a szczególnie ta jego pozycja: *The End of The Bronze Age: Changes in Warfare and the Catastrophe ca. 1200 B.C.* (Princeton: Princeton University Press, 1993.) Jak zauważył Drews, nie ma najmniejszych śladów masowej migracji ludów na terytoria greckie w tym konkretnym okresie. Są natomiast rozliczne dowody na napady o charakterze pirackim: rajdy na przybrzeżne grody, pożary i zniszczenia, ale bez osiedlenia się nowych populacji, czyli podobne wydarzenia, jak rajdy Wikingów na Europę w 8 – 9. wiekach ne. Co więcej, te same najazdy w tym samym czasie (jest niezgodność równa jednemu pokoleniu: Wiki pisze o ok. 1180 r. pne jako dacie zniszczenia Pylos i Myken; miejscowe muzea mówią o 1150 r.) i to na dużo większą skalę odnotowane są w całym basenie wschodniego Morza Śródziemnego, a szczególnie w Azji Mniejszej i Lewancie. Jak jest możliwe, że lokalna w skali inwazja Dorów mogła spowodować tak ogromną destrukcję i upadek tak potężnych państw jak imperium Hetytów?

Po drugie, źródła egipskie świadczą o powtarzających się atakach „Ludów Morza" (*Sea People*), z którymi musiało zmagać się kilku kolejnych faraonów i które poważnie osłabiły Nowe Państwo, omal nie doprowadzając do jego upadku. Archiwa w Pylos mówią o powszechnym niepokoju i ciągłej obserwacji morza, skąd spodziewano się napaści. W sumie Ludy Morza są dużo bardziej prawdopodobną przyczyną upadku cywilizacji mykeńskiej i nastania Ciemnych Wieków, niż Dorowie. Ale jak to było możliwe? Drews twierdzi, że przewaga najeźdźców opierała się na rewolucji w uzbrojeniu, związanej z wprowadzeniem do użytku żelaza. Cywilizacja mykeńska i jej odpowiedniki w basenie Morza Śródziemnego opierały się na brązie. Ludy Morza posiadły żelazo, przekuły je w długie miecze (znalezione w wielu grobach) i znalazły tym samym sposób na pokonanie walczących z kwadryg wojsk mykeńskich (lub hetyckich, a również i egipskich). Skąd natomiast ludy te przybyły i dokąd sobie poszły, do dziś nie wiadomo.

Muzeum w Mykenach oferuje teorię pośrednią: mykeńska Grecja żyła w pokoju, poszczególne królestwa nawzajem się kochały i ze sobą współpracowały (hehe), a Ludy Morza nie zaatakowały Grecji, tylko wschodnią część Morza Śródziemnego i zniszczyły imperium Hetytów oraz wiele pomniejszych państw Lewantu. Tym samym pozbawiły one mykeńską Grecję partnerów handlowych, na których opierała się jej gospodarka i spowodowały zawalenie się tejże. Hmmm, być może. Ale kto wobec tego i po co zaatakował i spalił pałace w Pylos, Tirynsie i samych Mykenach, zwłaszcza że autor tej propagitki twierdzi, że Grecy żyli w pokoju i przyjaźni?

Zwiedzając wszystkie te miejsca nie sposób oczywiście nie pomyśleć o Wojnie Trojańskiej. Gdy potraktować ją w sposób dosłowny, jak to zrobił Schliemann, nie

zgadza się chronologia. Najbardziej prawdopodobna data zburzenia Troi przez homeryckich Achajów koreluje się ze zniszczeniem Troi VIIa na początku 12. wieku, zaświadczonym przez archeologów. Ale data ta jest też współczesna destrukcji pałaców mykeńskich i zgadza się z najazdem Ludów Morza na wybrzeża Azji Mniejszej. Czyli zwycięzcy Achajowie, gdyby to oni mieli złupić i spalić Troję, nie mieliby do czego wracać, bo ich własne rezydencje spotkał ten sam los. Zarówno Homer, jak i inne tradycyjne źródła mówią zaś inaczej. Wygląda więc, że o ile tło opowieści Homera jest jak najbardziej prawdziwe, miasta i pałace przez niego opisywane, takie jak Mykeny czy Pylos i cała cywilizacja, którą te miasta reprezentowały, naprawdę istniały (a nie było to wcale przed Schliemannem oczywiste), to sama opowieść o wojnie jest amalgamatem historii wielu wojen łupieżczych, które toczyły się w różnych wiekach w achajskiej Grecji, zaś Schliemann się grubo rozpędził: groby, które odkrył w Mykenach nie mogą być Agamemnona i jego rodziny, bo są o stulecia starsze. Alternatywnie, Agamemnon i jego dysfunkcjonalna rodzinka żyli sporo wcześniej niż najazdy Ludów Morza, ale Troi nie złupili (zniszczenie Troi VIh datowane na ok. 1250 r. pne przypisywane jest trzęsieniu ziemi). Innego wytłumaczenia jak dotąd nie ma. *Nota bene*, Schliemann popłynął jeszcze bardziej w przypadku chronologii Troi: rzekomy „skarb Priama", ukradziony przez niego Turkom, a poźniej skradziony z Berlina przez Sowietów, znaleziony został w Troi II, czyli liczy sobie około tysiąc lat więcej niż domniemana Wojna Trojańska. I jeszcze jedno *trivium*: zupełnym przypadkiem śmierć Schliemanna w Neapolu w r. 1890 miała świadka w postaci Henryka Sienkiewicza, który opisał ją w *Listach z Afryki*.

Dzień 9. Nemea znana jest przede wszystkim z Herkulesa. „Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze. Ten młody zdusi Centaury...", ale Hydra Lernejska to była druga z zadanych mu przez Eurysteusa prac. Pierwszą było zgładzenia Lwa Nemejskiego nasłanego przez nieprzyjazną herosowi Herę. W wiekach historycznych Nemea miała się stać sławną przez igrzyska urządzane na cześć Zeusa, drugie pod względem znaczenia po olimpijskich (starożytni Grecy w igrzyskach się miłowali), a organizowane na przemian przez okoliczne miasta: Kleone i Argos. Zachowały się malowniczo położone ruiny doryckiej w stylu świątyni Zeusa, a także stadion podobny do Olimpii, choć nieco mniejszy.

Nemea od dawien dawna znana była z produkcji najlepszych w Grecji win. Zaiste, jeszcze w latach 1980-tych kosztowałem w Mykenach czerwone wino z Nemei odstające poziomem od innych greckich produktów winopodobnych, które były po prostu niepijalne. Nigdy potem nie potrafiłem go odnaleźć – był to ewidentnie wyrób lokalny. Jakość win greckich poszła zdecydowanie w górę w ciągu ostatnich 10 lat, a wyroby Nemei reprezentują już poziom międzynarodowy, co potwierdziliśmy wizytą w, przyznajemy, tylko jednej lokalnej wytwórni.

Korynt trudno minąć jadąc z Aten na Peloponez, albo w odwrotnym kierunku. Miasto usytuowane było i jest na przesmyku nazwanym korynckim. Przesmyk ten o grubości ok. 9 km stanowił przeszkodę w żegludze z morza Tyrreńskiego na Egejskie, więc przez wieki planowano przekopać przezeń kanał. Udało się to dopiero w 19. wieku, ale starożytni Grecy radzili sobie w ten sposób, że zbudowali wyłożoną kamieniem drogę

(*Diolkos*), którą przeciągali statki z jednego morza na drugie. Choć Korynt nie ma przeszłości mykeńskiej, jego strategiczne położenie zaowocowało szybkim rozwojem miasta po ustąpieniu Ciemnych Wieków, aż stało się ono jednym z najważniejszych w starożytnej Grecji. Wspominałem powyżej o Dorach – jaka by nie była ich rola w zniszczeniu kultury mykeńskiej, identyfikacja z tym plemieniem (z innymi byo podobnie) była wśród Greków niezwykle silna przez całą starożytność. Korynt więc był miastem doryckim, a również kolonie przez niego założone, na czele z Syrakuzami, uważały się za doryckie.

Datę zniszczenia Koryntu przez Rzymian po długim oblężeniu w 146 r. pne przyjmuje się za ostateczny upadek niepodległych miast-państw klasycznej Grecji. Miasto zostało zrównane z ziemią, mężczyźni wymordowani, a kobiety i dzieci sprzedane w niewolę. Takie były wówczas obyczaje wojenne. Już sto lat poźniej Juliusz Cezar zainicjował jednak odbudowę miasta, które szybko wróciło do dawnej świetności, a nawet ją przewyższyło.

Współczesny Korynt przeniósł się kilka km w stronę morza po kolejnym trzęsieniu ziemi (1858), ułatwiając tym samym wykopaliska bardzo rozległego miasta antycznego. Z czasów klasycznych zachowała się w zasadzie jedynie świątynia Apollona w stylu, zgadliście, doryckim, a konkretnie kilka jej kolumn. Reszta ruin pochodzi z wieków rzymskich. Nad wykopaliskami góruje imponująca skała Akrokoryntu, na której widnieją pochodzące z wielu wieków ruiny. Zabrakło nam czasu (i chęci, przyznaję) na nią się wspiąć, więc wierzymy przewodnikom, że w czasach antycznych była tam świątynia poświęcona Afrodycie, bogini miłości. Kapłanki Afrodyty ofiarowywały swe ciała za odpowiednią opłatą w ramach kultu bogini, czym zasłużyły sobie i swoim świeckim następczyniom na imię Cór Koryntu.

Muzeum archeologiczne na terenie wykopalisk warte jest wizyty. Szczególnie poruszająca jest historia jego kolekcji. W roku 1990 dokonano tam zbrojnego napadu i kradzieży, podczas której ciężko ranny został nocny strażnik. Był to znak, że kryminalny handel antykami osiągnął nowy, niebezpieczny poziom. Kolekcję w końcu odzyskano w... Miami w r. 2005 dzięki międzynarodowej współpracy z FBI. Zwiedzając następnego dnia w Atenach Narodowe Muzeum Archeologiczne widzieliśmy więcej zbiorów odzyskanych z rąk współczesnych rabusiów. Jeśli jednak obiekty te pochodzą z bezpośrednich i niezgłoszonych wykopalisk, stają się częściowo bezwartościowe, bo co najmniej połowa znaczenia znalezisk archeologicznych polega na ich kontekście, tzn. informacji gdzie, w jakiej warstwie i w jakim otoczeniu je znaleziono. Złodzieje zaś raczej nie zapisują tych informacji.

Tutaj zdjęcia:

https://photos.app.goo.gl/pz8hRPJhQf8vUoZf9

Dzień 9. Nie potrafię się doliczyć ile razy byłem w **Atenach**. Nie mniej niż osiem, być może dziesięć. Ostatnia wizyta miała miejsce 10 lat temu i nie była najszczęśliwsza. Straciłem wtedy w metrze portfel z dokumentami i dodatkowo wspomogłem ekonomię grecką ukradzioną sumą 80 euro. Znajomi Grecy twierdzili wprawdzie, że wspomogłem raczej gospodarkę albańską albo bułgarską, ale kto to wie. W tym roku zdecydowanie

przyłożyłem się do ekonomii greckiej sumą 30 euro płacąc mandat za przekroczenie szybkości między Nafplio a Koryntem. Zważywszy, że ograniczenie było do 60 km/h, a ja jechałem 115, nie mogę się specjalnie żalić i traktuję to jako napiwek. O stanie greckiej gospodarki będzie skrótowo później, a na razie wracamy do zwiedzania:

Kończymy dzisiejszą przejażdżkę na lotnisku w Atenach, oddajemy naszego Citroena i udajemy się do hotelu. Położony rewelacyjnie, pomiędzy łukiem Hadriana a Akropolem. Lunch w restauracji u stóp tego ostatniego – bezcenny. Wczesnym wieczorem przechadzka przez Plakę, wzdłuż rzymskiej Agory i plac Monastiraki do dzielnicy trochę na północ od tego ostatniego. Musiałem tamtę dzielnicę obejść we wcześniejszych latach, ale niczym się nie wyróżniała. Dziś jest to centrum rozrywkowo-gastronomiczne. Jedna restaurancja obok drugiej, wszystkie zapełnione, pełnia życia. Kryzys? Jaki kryzys? Epidemia? Jaka epidemia? W jednej z nich, dobrze notowanej na *Trip Advisorze*, spożywamy z polskimi przyjaciółmi kolację i wracamy taksówką do hotelu, co okazuje się grubym błędem. Z nieznanych mi przyczyn, główne ulice Aten blokowane są o dowolnej porze dnia i nocy przez policję, co tworzy nieskończone korki nawet gdy nie ma ku temu obiektywnego powodu. Dużo szybciej byłoby na piechotę.

Dzień 10. Następnego dnia mamy wolne przedpołudnie, więc szybki *refresher*. Akropol stoi jak stał od dwóch i pół tysiąca lat, a pewnie dużo dłużej. Budowle u południowych stóp wzgórza są częściowo odrestaurowywane, np. świątynia Asklepiosa, co budzi u mnie mieszane wrażenia. Wprawdzie nowo dosztukowane kawałki marmuru są, zapewne celowo, w jaśniejszym odcieniu, żeby było widać co nowe, a co antyczne, ale ciśnie się pytanie: po co? To samo pytanie nasuwa się przy oglądaniu Partenonu. Mam zdjęcie z 1978 r. – był to ostatni raz, kiedy widziałem go bez rusztowań i bez dźwigów. Rozumiem, że prace konserwatorskie trzeba prowadzić, żeby się ta antyczna budowla nie zawaliła, ale sztukowanie jej nowymi elementami uważam za chybione.

Kilka tygodni/miesięcy temu wielką kontrowersję wzbudziła szeroka betonowa ścieżka ułożona wokół Partenonu. Jak rozumiem, została ona wybudowana na potrzeby osób niepełnosprawnych, poruszających się na wózkach. Ścieżka mi nie przeszkadza, ale na północnym stoku Akropolu skonstruowano w tym samym celu specjalną windę i winda ta jest okropieństwem. Naprawdę nie dało się inaczej?

Resztę przedpołudnia spędziliśmy w Narodowym Muzeum Archeologicznym, znowu jako *refresher*. Nie przestaje mnie zachwycać niebywały wykwit sztuki, jaki się dokonał w Grecji minojsko-mykeńskiej, a który o dziwo przetrwał Ciemne Wieki i odżył na jeszcze wyższym poziomie w okresie archaicznym i klasycznym. Tym razem uderzyło mnie, jak bardzo wtórna w porównaniu z grecką jest sztuka rzymska. Sami Rzymianie doskonale sobie z tego zdawali sprawę i na Grecję się snobowali. Robili masowo marmurowe kopie greckich rzeźb wykonanych z brązu i tylko w ten sposób o tych ostatnich wiemy, jak wyglądały. Brązowe oryginały należą do rzadkości i w zasadzie tylko te się zachowały, które zatonęły w morzu wraz ze statkami, którymi były transportowane. *A propos* snobowania się na Grecję: nie napisałem w odcinku o Olimpii, że sam cesarz Neron, uważający się za wielkiego artystę i sportowca, wziął udział w tamtejszych igrzyskach, powożąc kwadrygą. Nakazał tylko, aby jego rydwan był zaprzęgnięty do 10 koni zamiast 4, którymi powozili wszyscy konkurenci. I tak jednak wypadł z niego podczas wyścigu, co nie przeszkodziło ogłoszeniu go zwycięzcą.

Istnieje opinia, że o ile Grecy byli wspaniałymi artystami, to Rzymianie – inżynierami. Nie ujmując nic tym ostatnim, Grecy też nie byli źli w tej materii, zwłaszcza, że wiedzieli conieco o matematyce. W Muzeum Archeologicznym, po obowiązkowym spojrzeniu w twarz Agamemnona, a raczej jego rzekomej maski odnalezionej w Mykenach przez Schliemanna, odszukałem salę, w której wystawiony jest tzw. Mechanizm z Antikithyry. Znaleziony w r. 1900 w morzu tajemniczy obiekt, rozbity na kilka większych i wiele mniejszych kawałków, skorodowany i pokryty koralami i skorupiakami, bardzo wolno odkrywał swe tajemnice. Dwa lata po wyłowieniu z morza zauważono, że zawiera on brązowe koło zębate. Dopiero jednak w 1974 ustalono, że był to analogowy komputer zawierający 30 kół i służący celom obliczeń astronomicznych. Szczegóły jego budowy były jednak ciągle niedostępne. Rok temu, poszukując w czasopiśmie *Nature* czegoś zupełnie innego, natrafiłem na ten artykuł: https://www.nature.com/articles/s41598-021-84310-w (dostępny każdemu jako *open access*), autorstwa m.in. Adama Wójcika z UC London. Jest to niebywałe, moim zdaniem, studium detektywistyczne używające wszystkich dostępnych współczesnych metod instrumentalnych do rozwikłania zagadki funkcjonowania mechanizmu. To *a propos* zdolności inżynierskich starożytnych Greków.

A teraz parę uwag ogólnych. Jak wspomniałem na wstępie, poprzednia nasza wizyta w Grecji miała miejsce 10 lat temu, w 2011. Kraj pogrążony był już w kryzysie będącym następstwem recesji z 2008. Restauracje żartobliwie serwowały „menu kryzysowe". Okolice placu Omonia w Atenach, niegdyś (lata 1970/80.) będące towarzyskim i handlowym centrum miasta, opustoszały. Zamiast biznesów pojawiły się tanie stragany. Nałożył sie na tę sytuację kryzys z napływającymi z Afryki uchodźcami. Ulicami naprawdę strach było chodzić, zwłaszcza po przygodzie z portfelem (*nota bene*, nigdy już nie odzyskałem skradzionego mi przy okazji polskiego prawa jazdy; na szczęście mam pierwowzór, datujący się na rok 1968). Co uderzało w 2011 w oczy i kieszeń, to były niezwykle wysokie ceny. Był to jeden z objawów kryzysu: lokalna inflacja cen, z której nie było łatwego wyjścia poprzez dewaluację waluty, skoro Grecja przyjęła euro. Następujące lata miały się okazać dużo gorsze.

W r. 2021 sprawy wyglądają lepiej, choć nie dane mi było na ten temat rozmawiać z tubylcami. Jeden lunch w niedzielę z kolegami po profesji skończył się głównie na moim usprawiedliwianiu się z polityki ostatnich 5 lat w USA. Nie starczyło czasu na sprawy greckie. Ale ulice koło Omonii wyglądają lepiej, a przede wszystkim nie są zaludnione przez osobników, koło których strach było przejść. Co prawda wszystkie żaluzje pokryte są ohydnymi graffiti i w sumie jest tak sobie, a wyraźnie życie przeniosło się gdzie indziej (Monastiraki i okolice). Jako turyści zauważyliśmy znaczący spadek cen w porównaniu z 2011. Jest to zgodne z poglądami poważanych przeze mnie ekonomistów, że z braku możliwości zdewaluowania waluty, jedyną drogą wyjścia z kryzysu była deflacja. Deflacji nikt nie lubi, bo oznacza to tyle, co spadek dochodów, ale alternatywy nie było. W każdym razie w 2021 oczywistych objawów kryzysu ekonomicznego, mimo pandemii, dla powierzchownego obserwatora nie było, inaczej niż w 2011.

Dzień 11. (...) w troki i do domu, *via* Chicago. Kolejne 18 godzin lotów, ale przynajmniej w komforcie klasy biznes.

Zdjęcia: https://photos.app.goo.gl/UfeCrDiBLdfYaW669

Raport lotniczy zaś jest dostępny tutaj:

http://lotnictwo.net.pl/3-tematy_ogolne/85-podroze_lotnicze/282-raporty_z_podrozy/100386-sfo_lhr_ath.html

(jrk, wrzesień/grudzień 2021)